

Andrzej Moszczak

WSPOMNIENIA Z LAT OKUPACJI

Do roku 1936 Komisariat Straży Granicznej w Muszynie mieścił się przy ul. Ogrodowej nr 5 (budynek ten do dzisiaj z zewnątrz zachował dawny wygląd strażnicy). Gdy przeniesiono go do Krynicy, zostały utworzone placówki Straży Granicznej bliżej granicy, a więc w Miliku, Muszynie, Wojkowej, Tyliczu i Muszynie. Na placówkę w Muszynie wynajęto jeden pokój w budynku przy ul. Piłsudskiego 317, czyli w moim domu rodzinnym, blisko stacji kolejowej oraz Posterunku Policji.



Nieistniejący już dom rodzinny państwa Moszczaków, przed wojną siedziba placówki Straży Granicznej. Fotografie wykonano w latach 70.; przed domem na motocyklu autor artykułu, na rowerze jego bratanek Józef (z archiwum autora)

W tym okresie nastąpił szybki rozkwit Muszyny dzięki zastosowaniu wód mineralnych i borowiny w lecznictwie. W okresie letnim uruchomiono bezpośrednie połączenie kolejowe pomiędzy Krynica, Warszawą, Lwowem i Wiedniem. Odprawy granicznej dokonywali strażnicy z placówki w Muszynie.

Taki rozkwit trwało do roku 1939, kiedy to w połowie sierpnia – w obliczu zbliżającej się wojny – nastąpił gwałtowny wyjazd kuracjuszy i turystów z Krynicy oraz Muszyny.

Któregoś dnia pociągiem relacji Krynica - Wiedeń jechał Jan Kiepusa. Niestety strażnik graniczny nie wyraził zgody na opuszczenie przez niego Polski z powodu braku wymaganych dokumentów. Na żądanie pana Kiepusy strażnik zaprowadził go na rozmowę do komendanta placówki. Pociąg miał w Muszynie godzinę postoju, przeznaczoną na odprawę graniczną, a negocjacje z komendantem przedłużały się i pan Kiepusa tego dnia nie odjechał do Wiednia. Mimo to następnego dnia z rozmowy strażników wynikało, że Jan Kiepusa jest już za granicą.

Takie pospieszne wyjazdy trwały prawie do końca sierpnia 1939 roku. Kto mógł – wyjechał z Muszyny. W pośpiechu wyjeżdżali również ludzie, którzy sprawowali wcześniej jakąkolwiek władzę. Stacja kolejowa opustoszała, most na rzece Muszynie został wysadzony. W mieście zapanowała złowroga cisza.

W nocy 1 września 1939 roku, do opuszczonej i niezamkniętej placówki Straży Granicznej weszli ludzie mówiący niezrozumiałym dla nas językiem. Nie doszło do grabieży i dewastacji pomieszczenia. Zabrali tylko zegar ścienny i ceratę z biurka.

Wczesnym rankiem w mieście zapanował duży ruch, bowiem na ulicach pojawili się najpierw żołnierze słowaccy, a następnie piechota niemiecka. Odziały te wkroczyły do Muszyny od strony Leluchowa i – nie napotykając oporu – zmierzały w kierunku Krynicy. Wkrótce żołnierze słowaccy otrzymali rozkaz wycofania się na stację kolejową do specjalnego, przeznaczanego dla nich pociągu, nadjeżdżającego ze Słowacji.

Na zapleczu opuszczonego domu przy ul. Piłsudskiego 109 ustawiono kuchnię polową. Tam około godziny 13⁰⁰ wydano posiłek żołnierzom słowackim, oczekującym na odjazd pociągu o godz. 15³⁰. Po ich odjeździe, około 16⁰⁰, ponownie na stacji kolejowej zapanowała cisza.

Nadciągały natomiast coraz liczniejsze odziały niemieckie. Przez trzy tygodnie dniem i nocą przejeżdżały odziały zmotoryzowane z pełnym uzbrojeniem, samochody wojskowe i osobowe, ciężarówki, ciągniki gąsienicowe z dużymi armatami oraz czołgi. Zaczęło się nowe, trudne życie pod okupacją niemiecką. Wrócili ludzie, którzy wcześniej uciekli, ale następowały nowe ucieczki i aresztowania. W szybkim tempie postępowała rozbudowa tartaku oraz usuwanie usterek w celu uruchomienia połączeń kolejowych. Połączenia osobowe obsługiwali kolejarze słowaccy. Po południu przyjeżdżał do Muszyny pociąg osobowy, którym deportowano Polaków uciekających na Węgry, a schwytanych na terenie Słowacji. Byli to przeważnie młodzi mężczyźni. Ze stacji odprowadzano ich, przykutych parami do jednego łańcucha, pod eskortą gestapo do więzienia w Muszynie. Mieszkałem obok stacji kolejowej, a więc takie „transporty” widywałem prawie każdego dnia. Pociągi towarowe natomiast obsługiwane były przez kolejarzy polskich – do pierwszej stacji za granicą.

Podczas okupacji każdy zdolny do pracy mieszkaniec Muszyny chciał pracować, aby jakoś żyć i nie zostać wywiezionym do Niemiec na przymusowe roboty. Pracę można było dostać tylko w rozbudowanym tartaku, w nadleśnictwie, na kolei oraz w kamieniołomach.

W tartaku pracowało ponad 350 osób. Ponadto przymusowo zatrudniano 120 Żydów przywożonych z getta w Nowym Sączu. Mieszkali oni w barakach, specjalnie w tym celu wybudowanych na terenie tartaku i szczelnie ogrodzonych. Co kilka miesięcy następowała wymiana – jedną grupę odwożono do getta, a przywożono następną. Trwało to do momentu likwidacji getta w Nowym Sączu.

Z pobytem Żydów w tartaku łączy się moje osobiste przeżycie. Zaprzyjaźniłem się z jednym z nich i – na miarę swoich możliwości – pomagałem mu, nie zważając na mogące wyniknąć z tego konsekwencje. Było to możliwe dzięki jego sprytowi. Otóż ten

młody Żyd, będący w moim wieku, znalazł przejście na zewnątrz tartaku przez barak służący za kuchnię i stołówkę. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko tego baraku, stał mój dom. Zachowując dużą ostrożność przekradał się do naszego domu. Był szczęśliwy, że choć przez chwilę może być poza obozem i zjeść talerz ciepłej zupy. Któregoś dnia przyszedł się pożegnać, gdyż właśnie następowała wymiana grup. Ze strachem wracał do getta w Nowym Sączu, bo nie wiedział, co go dalej czeka.

Po jakimś czasie pojawił się jednak ponownie w moim domu. Okazało się, że znów został przydzielony do pracy w Muszynie, z czego bardzo się cieszył, bo wolał ciężką pracę w tartaku od bezczynności w getcie. Poprosił mnie wówczas, abym dostarczył mu chleb, który chciał przemycać do obozu przy tartaku dla współwięźniów. Niestety kupno chleba w Muszynie było niemożliwe. Jeździłem więc do Piwnicznej. Stamtąd przywoziłem czarny, żytni chleb, a on kroił go na ćwiartki i – tyle, ile zdołał ukryć – zabierał do obozu. Miał pieniądze i zawsze zwracał mi poniesione koszty. Niestety nie trwało to długo, gdyż piekarz w Piwnicznej nabrał podejrzeń i odmówił mi sprzedaży chleba w tak dużych ilościach.

Wiele lat po wojnie dowiedziałem się, że zaprzyjaźnionemu Żydowi udało się uciec i przeżyć tę gehennę. Czytając bowiem „Gazetę Krakowską” trafiłem na zamieszczone tam wspomnienia obywatela Izraela, delegowanego służbowo do Polski. Pisał on, że przy okazji odwiedził Nowy Sącz i Muszynę, gdzie w czasie okupacji był w obozie i pracował w tartaku. Z sentymentem wspominał buty, które dostał tam od Polaków. Wtedy już byłem pewien, że są to wspomnienia mojego znajomego Żyda, gdyż te buty, prawie nowe, ja mu dałem. Sądzę, że nie spotkaliśmy się w Muszynie tylko dlatego, że po barakach przy tartaku nie było już śladu, a budynek, w którym mnie odwiedzał w czasie okupacji, teraz stał pusty. Zapewne nie pamiętał również mojego nazwiska, dlatego nie zdołał mnie odszukać, czego bardzo żałuję.

Tartak w Muszynie należał do przedsiębiorstwa „Hobag” z siedzibą w Krakowie. Do zadań kierownictwa w Muszynie należało między innymi wysyłanie dokumentów dotyczących produkcji i sprawozdań z działalności tartaku. W tym celu zatrudniony był Tadeusz Lisowski. Odbierał on wyżej wymienione dokumenty z tartaków w Muszynie, Piwnicznej, Nowym Sączu, z Nawojowej, Grybowa, Kałowej i dostarczał je do centrali w Krakowie. W drodze powrotnej czynności te się powtarzały. Podczas tych podróży został zwerbowany przez grupę ludzi zajmujących się przerzutami za granicę Żydów, którym udało się uciec z getta w Krakowie.

Przeprowadzaniem na stronę słowacką zajmował się Józef Homa, który mieszkał w ostatnim budynku dzielnicy Muszyna - Folwark.

Na stacji w Muszynie następowała zmiana obsługi parowozów i obsługi pociągu towarowego. Uciekinierzy przyjeżdżali w używanych mundurach kolejowych jako drużyna pociągu, z fałszywymi kenkartami, w południe pociągiem osobowym do Muszyny, będąc dzięki temu bardziej wiarygodnymi podróżnymi. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, pojedynczo, wolnym krokiem udawali się nad Poprad, gdzie, w zależności od pogody, myli się, moczyli nogi, spacerowali. W ten sposób musieli spędzić czas do

wieczora; wówczas następowało spotkanie z panem Homą, który przeprowadzał ich nocą przez granicę. Ten proceder trwał szczęśliwie, bez „wpadki”, do czasu likwidacji getta w Krakowie.

W tej działalności przerzutowej Żydów za granicę miałem i ja swój udział. Otóż Tadeusz Lisowski, z którym od dawna się kolegowaliśmy, poprosił mnie o przechowanie kenkart osób, które już przekroczyły granicę. Bał się trzymać je u siebie w domu, a był zobowiązany do ich zwrotu w wyznaczonym czasie.



Kenkarta Andrzeja Moszczaka (proszę zwrócić uwagę na datę ważności dokumentu – okupantowi nie brakowało pewności siebie!)

O tym, pod jak silną presją psychiczną, paraliżowani ciągłym strachem o własne życie, działali ludzie zajmujący się przerzutem Żydów przez granicę, najlepiej świadczy następujący fakt. Otóż po blisko dwudziestu latach, w przypadkowej rozmowie z panem Józefem Homą, zapytałem go, jak zakończyła się próba przetransportowania przez granicę starszej, siedemdziesięcioletniej Żydówki. Mimo, że minęło tyle lat, a rozmowa odbywała się bez świadków, jej temat bardzo zdenerwował pana Józefa. Początkowo gwałtownie zaprzeczył, że miał cokolwiek wspólnego z Żydami i nie ma pojęcia, o co go pytam. Dopiero, gdy powiedziałem, że kenkarty wracające od niego Tadeusz Lisowski przynosił do mojego domu, gdzie były ukrywane pod podłogą, stopniowo uspokajał się. Po chwili milczenia wyznał z żalem, że miał wiele kłopotu z przyjęciem go do ZBoWiD-u, bo nie miał kto poświadczyć jego działalności konspiracyjnej. Żaden z przeprowadzonych przez niego Żydów nie odezwał się później, nie wiedział

również, co się dzieje z Tadeuszem Lisowskim i nic nie wiedział o mojej współpracy. Już rozluźniony, opowiedział mi historię przeprowadzenia siedemnastoletniej Żydówki. Przeprowadzając się przez „lesik”, drogą między dzielnicą Wapienne a leśniczówką Majdan, nagle usłyszeli odgłos nadchodzącego patrolu niemieckiego. Podczas pośpiesznego schodzenia ze stromej góry, aby się ukryć, dziewczyna potknęła się na gałęzi i złamała nogę. Mimo ogromnego bólu powstrzymała się od krzyku, dzięki czemu patrol ominął ich. Wówczas usztywnili jej nogę kawałkami gałęzi przywiązanymi paskami od spodni i tak przenieśli ją za granicę.

Niestety nie udało się przeprowadzić starszej kobiety, o którą go zapytałem na początku rozmowy. Jej wiek i stan zdrowia nie pasował do fikcyjnej zastępczej drużyny kolejowej.

Kolejną osobą, która, jak się później okazało, odegrała ważną rolę w konspiracji, była pani Anna Witkowska, mieszkająca w naszym domu przy placówce Straży Granicznej. Wyjechała z Muszyny wraz z mężem, który był strażnikiem, po eksmisji wszystkich z budynku placówki. Strażnicy graniczni pochodzili z województwa poznańskiego. Wkrótce jednak pani Witkowska wróciła do Muszyny sama i zajęła to samo mieszkanie. Niestety, przeżycia okupacyjne, tęsknota stały się przyczyną jej choroby. Mimo to, po utworzeniu siedziby gestapo w willi „Helin”, korzystając z przywileju dla rodzin strażników z Poznania, znających język niemiecki, otrzymała pracę kucharki. Pracowała w budynku gestapo od rana do wieczora, do domu przychodziła tylko na noc. Był to okres największego terroru ze strony okupanta, aresztowań i wysyłek do obozów zagłady. Od pani Witkowskiej i jej przyjaciela, pana Olszowskiego, można było czasami dowiedzieć się, jak okrutne tortury przechodzą przesłuchiwanie więźniowie polityczni. Pan Olszowski przed wojną pracował jako zawiadowca stacji kolejowej, a podczas okupacji w zastępstwie zawiadowcy. Ponieważ został wysiedlony z mieszkania kolejowego, mieszkał wraz z rodziną w moim domu (zob. Jacek Olszowski, „Wspomnienia baraby”, *Almanach Muszyny 2004*, s. 225).

Pewnego dnia doszło do zorganizowanej ucieczki czternastu więźniów, po których ślad zaginął. Następstwem tej ucieczki było kilkudniowe bestialskie przesłuchiwanie więziennego klucznika, Antoniego Kity. Mimo tortur nie wydał współorganizatorów ucieczki i został zabity niedaleko siedziby gestapo. Po zakończeniu wojny uznano go za bohatera i nazwano jego imieniem jedną z ulic w Muszynie.

Wkrótce pani Anna Witkowska została bezrobotna, gdyż posterunek gestapo został przeniesiony do Krynicy. Nie trwało to jednak długo. Została ponownie zatrudniona jako kucharka, tym razem na stacji kolejowej, na miejsce aresztowanej Katarzyny Broniszewskiej. Tam pracowała do końca wojny.

W sąsiednim budynku, wynajętym od Józefa Miczulskiego, mieszkała nauczycielka Szkoły Powszechnej w Muszynie. W jej to mieszkaniu pojawił się pod koniec wojny nieznamy mężczyzna w średnim wieku. Przypuszczano, że to mąż nauczycielki, później uznano go za jej przyjaciela. Wzbudzał zainteresowanie wszystkich sąsiadów, ponieważ nigdzie nie pracował, spędzał czas na spacerach i łowieniu ryb. Nawet wówczas,

gdy miejscowa ludność musiała pracować przy budowie okopów, on nadal spędzał czas beczynnie.

Zbliżał się koniec wojny. Stacja kolejowa ponownie opustoszała, tunel został poważnie uszkodzony, a tartak podpalony. Z niepokojem czekaliśmy na upragnione wyzwolenie.

20 stycznia 1945 roku od strony Leluchowa wkroczyła Armia Radziecka. Grupy radzieckich żołnierzy zatrzymały się na pewien czas przed domem mojej sąsiadki nauczycielki, po czym odjechały w kierunku Krynicy.

Ku mojemu zdziwieniu wczesnym popołudniem ujrzałem wychodzącą z domu, w którym mieszkała nauczycielka, panią Annę Witkowską w towarzystwie wysokiego rangą oficera radzieckiego. Zmierzali przez nasze podwórko do jej mieszkania. Moje zdziwienie było tym większe, że miesiąc wcześniej widziałem ją na spacerze z niemieckim zawiadowcą stacji kolejowej w Muszynie. Wyjaśnienie przyszło następnego dnia, a więc 21 stycznia 1945 roku, kiedy to ogłoszono wyzwolenie Muszyny. Wówczas komisarzem Miasta Muszyny został mianowany pan Jezierski, czyli człowiek o nieznanym tożsamości, który spokojnie mieszkał przez długi czas w moim sąsiedztwie u wspomnianej wcześniej nauczycielki. Mianował go oficer radziecki, którego poprzedniego dnia widziałem w towarzystwie pani Anny Witkowskiej. Społeczeństwo Muszyny zostało zaskoczony tak dobrze zorganizowaną konspiracją. Podejrzewana o współpracę z Niemcami pani Witkowska najprawdopodobniej była łączniczką w ruchu oporu.

Po wyjaśnieniu różnych wątpliwości związanych z jej osobą i innymi ludźmi, pani Witkowska wyjechała z Muszyny, a następnie z Polski. Po jakimś czasie pan Olszowski otrzymał z Anglii kartkę z pozdrowieniami od państwa Witkowskich. Od tego czasu kontynuowali korespondencję z okazji świąt.



Pocztówka z końca lat 30.